
KRONIKA

1. BARBARY ZIĘBY LISTÓW Z SYBERII CIĄG DALSZY

Irkuck, 28 września 2008 r.

Drodzy Moi!

Już dziesiąty dzień jestem w Irkucku po powrocie z Polski z nową wizą. Jeszcze nie do końca rozstałam się z Wami, więc dziś, przy szumie jesiennego wiatru za oknem, chciałabym porozmawiać z Wami, snując tę opowieść z pierwszych dni mojego kolejnego pobytu na Syberii.

Zacznę od podróży. Najpierw przedostałam się samolotem z Warszawy do Petersburga. Było fajnie, bo szybko, jeśli nie liczyć ryczących podpitych Polaków z jakiejś wycieczki. Tuż po lądowaniu jeden z Rosjan siedzących niedaleko mnie, na widok lotniska, powiedział filozoficznie do swego sąsiada: „Tak samo smutno jak w Polsce, ale bardziej swojsko”. Pewnie była to swego rodzaju melancholia spowodowana bezpłatnym piwem i winem, którym obaj panowie raczyli się całą drogę. Polka siedząca przed nimi zaprotestowała gwałtownie, że przecież w Polsce wcale nie jest smutno! No cóż, a ja myślałam o tym jeszcze po odprawie paszportowej i po wyjściu na zewnątrz, i choć wcale nie było mi smutno, to jednak stwierdziłam, że też czuję się swojsko. Mimo, że podczas pobytu w Polsce zawsze ponownie do niej przywykam i wydaje mi się, że jadę w obce strony. Ale to trwa tylko chwilę, bo – jak widać – zaraz po wylądowaniu znowu jestem u siebie. To działa w obu kierunkach.

W autobusie, który przewoził mnie z terminala międzynarodowego na krajowy, byłam jedyną pasażerką. Kierowca, odwracając głowę i przekrzykując warkot silnika, wypytywał mnie szczegółowo, skąd lecę, po co i jaka tam jest pogoda. Czy wyobrażacie sobie na przykład, żeby motorniczy tramwaju w Warszawie pytał wsiadających ludzi, co dziś robili na Żoliborzu i czy jadą teraz na Ochotę? A tu, w północnej stolicy byłego imperium, spokojnie opowiadałam facetowi o temperaturze, słońcu i opadach w Polsce i w Irkucku (wieści z Internetu). Takie sceny niekiedy mnie drażnią, ale tym razem było to dość zabawne, więc weszłam w sytuację zupełnie po miejscowemu. A przy okazji, przeciskając się w chaosie komunikacyjnym, pan kierowca nie omieszkał podzielić się wrażeniami na temat swojego kraju: Bez sensu to wszystko! Najpierw zbudują lotnisko i budynki dookoła, o drogach nie pomyślą, a potem w ogóle nie ma dojazdu i robi się potworny bardak. Nawet milicja nie może porządku zaprowadzić! No tak, było mi już zupełnie swojsko.

Potem kilkugodzinny spacer w okolicach Newskiego Prospektu, a następnie powrót na lotnisko, by wyruszyć w końcu na Sybir. Ale okazało się to nie takie proste i oczywiste. Nasz wylot co dwie godziny przekładano na następne

dwie godziny i w ten sposób spędziłam w Petersburgu całą noc aż do szóstej rano. Czytałam gazetę zabraną z pierwszego samolotu, bo na nic inteligentniejszego nie było mnie stać o takiej porze. Ludzie siedzieli spokojnie i dopiero około czwartej rozpoczął się lekki – ale bardzo lekki – bunt: *Taki kraj chrzaniomy! Wszędzie to samo*. Być może jeszcze kilka godzin siedzenia na żelaznych krzesłach spowodowałoby zawiązanie komitetu protestacyjnego, ale na szczęście nie miałam okazji tego sprawdzić. W brzasku nowego dnia odlecieliśmy na wschód. Po kilku godzinach było lądowanie (planowe) w Barnaule na Altaju, a pod wieczór tego samego dnia znalazłam się w Irkucku. I tu też było bardzo swojsko: remont lotniska trwający od kilku lat, trwa dalej; odbiór bagażu w drewnianej budzie; kierowca autobusu miejskiego stwierdzający, że skoro ktoś (czyli ja) wsiadł, to on w takim razie wyruszy na trasę. Bo to przystanek początkowy. Około 20.00 dotarłam do mieszkania i tak rozpoczęła się tutejsza codzienność.

Jej najpiękniejszym elementem okazała się cudna złoto-polska jesienna pogoda: bezchmurne niebo, łagodne ciepło słońca, kolorowe liście na drzewach i pod nogami. I specyficzny zapach jesieni. Z przyjemnością wybieram się na małe pobieganie w pobliskim parku, którego zresztą według europejskich kryteriów parkiem nazwać nie można. To raczej chaotyczne zbiorowisko drzew, krzewów i zarośniętych dzikich alejek, gdzieniegdzie wylanych asfaltem. Ale mniejsza z tym. W każdym razie przed moim wyjazdem kipiał zielenią, a teraz od stóp do głów błyszczy złotem. Przyjemnie jest pobiegać po szeleszczących liściach, a dla złapania oddechu pogrzać się w jesiennym słońku i popatrzeć na płynącą melancholijnie Angarę.

W przedostatnim liście obiecałam Wam dalsze wiadomości z frontu rozkradania przejścia podziemnego. Otóż, zaraz po moim przyjeździe, naliczyłam 122 brakujące płytki. Jak widzicie – przyrost oszałamiający. Szczątki niektórych z nich wały się pod nogami. To mi nasunęło myśl, że być może niektóre ubytki są efektem nocnych pijackich ćwiczeń karate, a może wynikają też z „oszczędności” kleju przy ich układaniu. I oto w następnych dniach stał się cud! Przyjechała ekipa i położyła nowe płyty! A potem nawet posprzątała całe przejście, usuwając zwały śmieci, które uzbierały się przez te kilka tygodni. Również remont ulicy posunął się znacząco: samochody śmigają już po nowych jezdniach i tylko na jednym krańcu drogi trwają jeszcze jakieś wykopki, ale na szczęście jest to ten kraniec, który mnie nie dotyczy.

Dziwy wielkie, ale wytłumaczenie proste: 12 października będą wybory samorządowe. Zryw remontowy jest w takim okresie zawsze widoczny i dzięki elekcji miasto wzbogaca się o nowe kawałki chodnika, albo o jakąś pomalowaną ścianę. Moja trasa z mieszkania do katedry jest coraz bardziej ucywilizowana. Czy można jeszcze wątpić w dobro płynące z demokracji? Przynajmniej część społeczeństwa mobilizuje się do działania. Np. na tablicy pod moim blokiem dwa razy dziennie następuje totalna wymiana plakatów. Tak na moje wyzucie największą aktywność przejawia ekipa kandydata Antona Romanova (ale chyba nie z TYCH Romanowych). Na drugim miejscu postawiłabym Dmitrija Bajmaszova i Siergieja Levczenko. Przewija się też jakaś kobieta, ale nazwisko mi umknęło. Wszyscy są niedoścignieni w swoich zasługach i możliwościach. Codziennie wyciągam ze skrzynki całe gazety poświęcone osiągnięciom i planom. W jednej z nich była mapa naszej dzielnicy z zaznaczonymi kawałkami nowego asfaltu, nowych rur, dachów, krawężników, huštawek, śmietników itd. Ale największy optymizm wieje z ogromnych bilbordów partii Jedna Rosja,

przedstawiających kobietę z wózkiem i głoszących, że „w tym roku po raz pierwszy liczba urodzeń przewyższyła śmiertelność”. Nie wiem, czy to ma sugerować tak dużą efektywność członków partii, ale w każdym razie, o ile to prawda, byłaby to rzeczywiście niezwykle pozytywna wiadomość, bo ludność kraju kurczy się w zastraszającym tempie.

Po takim zarysowaniu tła powinnam nareszcie przejść do naszych spraw. Dwa dni po przylocie miałam możliwość odwiedzić po paru latach Wierszynę i Majsk, znane Wam z moich dawnych listów. Sama podróż przez kolorową tajgę była już atrakcją nie lada, a w wioskach – wszystko jakby po staremu. A jednak zupełnie inaczej. Zmieniło się w tym czasie kilku księży, ale najważniejszy dla ludzi jest wciąż o. Ignacy. Wierszyński cmentarz przyjął kolejnych lokatorów. Przebudowane wnętrze kościółka, choć ładne, to jednak nie wywołuje entuzjazmu parafian, tęskniących za starymi obrazami, umieszczonymi tu przez ich najważniejszego duszpasterza. Dzieci podrosły, aż poznać trudno. Drewniana plebania też rośnie, rozbudowywana przez Alberta. A zalesione wzgórza stoją jak stały, obserwując spokojnie kolejne przemijające sprawy i pokolenia. W domu w Majsku czas jakby się trochę zatrzymał: na ścianie potężny i piękny portret Jana Pawła II, takiego z 1978 roku. Pewnie przetrzyma jeszcze niejeden pontyfikat. Ludzie też gościnni po staremu. Zaliczyliśmy tego dnia dwa obiady, po jednym w każdej wiosce. I w każdym było coś swojskiego: w jednym - polski niedzielny rosołek, a w drugim – zupełnie nasze placki ziemniaczane. Kolaćka tego dnia nie była już potrzebna.

Natomiast cztery dni później w katedrze miało miejsce wydarzenie ważne dla całego miasta. Odbывał się pożegnalny koncert znanej organistki Lidii Jankowskiej, mieszkającej w Irkucku od trzydziestu lat. Teraz właśnie postanowiła zmienić miejsce zamieszkiwania, więc była to okazja nie tylko do zakosztowania muzyki, ale także do wspomnień. Przez minione trzy dziesięciolecia występowała ona w naszym starym kościele, przerobionym na salę organową, a po pojawieniu się katedry z nowoczesnymi organami, nie odmawiała swego zaangażowania również tutaj. Ostatni koncert zgromadził mnóstwo wielbicieli jej talentu i dzięki temu ja, wtapiając się w tłum, mogłam posłuchać rozmów gości naszego kościoła. Oto parę cytatów: „najbardziej to mi się podoba u katolików to, że można u nich posiedzieć na ławce, nie to co u nas”; „batuszka u nich nie może się żenić, tak jak zakonnik u nas”; „a czemu te organy takie u nich schowane, a nie stoją przed publicznością?” No i tak dalej.

Nie mają już takich dylematów ci, którzy bywają u nas częściej, jak choćby „moi” alkoholicy. Od kilku dni codziennie przychodzi jeden taki z Londynu, więc też wnosi trochę światowego powiewu do lokalnych grup. A nabierają one coraz więcej dynamizmu. W ostatnich tygodniach pojawiły się zupełnie nowe – w Abakanie, Żeleznogorsku, Jelancach, Troickim, Jelizowie. Wymieniam miejscowości z całej naszej diecezji, bo informacje spływają z różnych stron. Ale jeszcze ciekawsza jest wiadomość, że w regionie irkuckim zaczęli przychodzić na grupy prawosławni księża, którzy są uzależnieni tak samo, jak większość społeczeństwa. Bogu niech będą dzięki, że udało im się pokonać pychę i zwrócić z pokorą o pomoc do innych. Jak wiadomo, jest to najtrudniejsza „grupa zawodowa”, jeśli chodzi o leczenie alkoholizmu, bo tak mocno przekonana o swojej wyższości nad wszystkimi ludźmi.

Będę się przyglądać sprawom wokoło i kiedyś znowu do Was napiszę. A teraz życzę Wam pięknej jesieni, która u nas już się kończy, ale do Was dopiero zmierza. Pozdrawiam serdecznie.

Barbara

*

Irkuck, 30 września 2008 r.

Drodzy Moi!

Jeden temat pominęłam w przedwczorajszym liście, bo zasługuje na zupełnie odrębne potraktowanie. Wspominałam Wam dawno temu, że bardzo bym chciała doświadczyć kiedyś w pełni świadomie (a nie tylko przez sen) konkretnego trzęsienia ziemi. Oczywiście bez uszkodzeń. I wyobraźcie sobie, że taka niesamowita historia zdarzyła się tutaj 27 sierpnia, kiedy ja akurat byłam w Puławach... No, więc cóż, muszę poprzestać na opowieściach naocznych świadków, którym trzęsienie napędziło tyle strachu, że już sama nie wiem, czy żałować swojej nieobecności i czy czekać z utęsknieniem na kolejną okazję.

Wstrząsy miały miejsce przez cztery kolejne dni, a najsilniejsze były odczuwane niemal na całej Syberii: od Czity do Nowosybirsk. Epicentrum znajdowało się na dnie Bajkału, u jego południowych krańców, w pobliżu miejscowości Sludzianka i Bajkalsk. Siła wstrząsów o godzinie 10.35 osiągnęła osiem stopni. W tych miastach posypały się kominy, piece i dachy; ucierpiały setki rodzin. Szybko rozpoczęto remonty, bo przecież we wrześniu nadchodzą pierwsze mrozy i śniegi, więc ogrzewanie jest niezbędne.

W samym Irkucku najmocniejsze wstrząsy osiągnęły siedem stopni. W tym dniu działo się wiele: ziemia trzęsła się jeszcze o 10.41, 11.07, 12.29, 13.41 i 14.00. Ewakuowano wszystkie szkoły i uczelnie, nawet niektóre szpitale wyprowadziły na ulicę swoich pacjentów. Połowa rodziców pozabierała swoich przedszkolaków już w południe. Na niektórych budynkach powstały pęknięcia, a kilka dzielnic zostało pozbawionych wody. Większość firm i instytucji zwolniła swoich pracowników do domu. Zasadniczo wszyscy powybiegali z pomieszczeń, a lekkiej panice poddały się nawet służby bezpieczeństwa - około dwudziestu budynków przez kilka godzin pozostawało bez ochrony. Potem w prasie pojawiły się instrukcje dotyczące zachowania w podobnych sytuacjach.

Jak widać – nic wielkiego się nie stało i nawet cegłówką nikt po głowie nie dostał, ale strachu się ludzie najedli. Zwłaszcza ci mieszkający na wyższych piętrach. Nawet w mojej szafie były poprzewracane przedmioty, choć mieszkanie jest zaledwie na drugim piętrze. Właśnie o strachu mówią najczęściej, wspominając tamten dzień. Z jedną panią rozmowa potoczyła się wręcz w kierunku nawrócenia, kiedy wspomniała mi o tym, jak to podczas trzęsienia ziemi słyszała bijące dzwony. Można było pół żartem – pół serio powiedzieć, że to Pan wzywa ją coraz gwałtowniej, by nareszcie przyszła do Niego. Inna pani opowiadała mi, jak to trzęsienie zastało ją na hali targowej podczas zakupów dla pieszka. Wszyscy, łącznie ze sprzedawcami, wybiegli na zewnątrz, porzucając swoje stragany, więc jeśli trafił się jakiś mniej bojaźliwy złodziej, to mógł się nieźle obłowić...

Minał już miesiąc od tamtych wydarzeń, więc nawet w cudzych opowieściach nie są już tak bardzo świeże, a swoich własnych wspomnień tym razem nie mam. Może nie należy się tym martwić, bo widocznie tak miało być. A zatem kończę ten króciutki list i pozdrawiam Was ze stabilnej dzisiaj syberyjskiej

ziemi, pełnej słońca i złotych liści, które jednak sypią się coraz obficie, zwiastując szybki koniec jesiennych uroków.

Barbara

*

Irkuck, 13 października 2008 r.

Drodzy Moi!

Dzień po wyborach. W przejściu podziemnym brakuje już trzech płyt.

Właściwie na tym chciałam skończyć ten list, ale przypadkiem natrafiłam w Internecie na ciekawy artykuł o zmianie podejścia Rosjan do sprawy aborcji. Oto kilka informacji.

Według danych Ministerstwa Zdrowia w ubiegłym roku w Rosji zarejestrowano 1 milion 302 aborcje, czyli na tysiąc kobiet było to ponad 40 „zabiegów” (po rosyjsku zwanych zresztą „operacjami”). Dla porównania – według autorów tekstu – w Europie Zachodniej jest ich tylko 12. Być może wiąże się to ze zmianą świadomości Rosjan. Na te przemiany wskazują rezultaty badania opinii społecznej. Tylko 48,8% respondentów wspiera pary mające już dzieci, które decydują się na aborcję. W 1999 roku było ich 63,9%. Ciekawe, że respondenci w wieku od 50 do 59 lat akceptują aborcję o wiele częściej niż młodzi.

To oczywiście bardzo wyrywkowe dane, niemniej jednak – interesujące. Ciekawa jest też interpretacja. Przede wszystkim przypisuje się to większej trosce o zdrowie (aby nie doprowadzić się do bezpłodności), ale wspomina się też o podniesieniu poziomu religijnej świadomości. Lekarze zareagowali na te wyniki z niepokojem. Artykuł cytuje ginekologa Aleksieja Tichomirova: „Najważniejsze, aby negatywny stosunek do aborcji nie przekształcił się w oficjalny zakaz”. Ot, co. Przecież to w końcu niebywały biznes.

Jednak państwowa troska o powstrzymanie spadku liczby ludności przejawia się w pewnych pozytywnych działaniach. Rozporządzenia ministerialne nieco ograniczyły dostępność aborcji: każda kobieta musi podpisać oświadczenie o dobrowolnej i świadomej zgodzie, a w przychodniach pojawili się pracownicy socjalni, przekonujący pacjentki do zmiany decyzji. Ponadto spis medycznych wskazań zalecających aborcję, został skrócony o 92 punkty (ile ich było?, ile jest?, nie mam pojęcia). Ale - jak twierdzi autor tekstu – kolejki do ginekologów na razie się nie zmniejszyły.

Wybaczcie, to na dziś wszystko, bo jestem już na wylocie. Wyjeżdżam na dziewięć dni do Ułan Ude. Pozdrawiam Was serdecznie i mam nadzieję, że stamtąd będzie coś ciekawego do napisania następnym razem.

Barbara

*

Ułan Ude, 18 października 2008 r.

Drodzy Moi,

Buriacja. Słońce, mnóstwo słońca. Esencja Syberii: prawie wszystkie liście już opadły, po błękitnym niebie płyną białe obłoczki, niekiedy zawiewa ostry, zimny wiatr, a wszystko to zalewa niezmordowane słońce. Od przedwczoraj mieszkam na ostatnim piętrze tutejszego kościoła katolickiego, nade mną już tylko dzwonnica, na razie pusta. Hulający wiatr słychać na tej wysokości bardzo dobrze, ale szczelne okna nie pozwalają mu wyrządzić mi jakiegokolwiek

szkody. Bardzo dobrze, bezpiecznie i spokojnie czuję się w tym zacisznym kątku wielkiej syberyjskiej krainy. Bardzo dziwnej, bo przecież takiej innej – nie rosyjskiej, ale właśnie „miejscowej” – buriackiej. W sklepach, szkołach, urzędach – Buriaci. W naszej parafii zresztą również. Na ulicach słysząc buriacki język, choć o wiele rzadziej niż rosyjski. Wyglądam przez okno i po drugiej stronie ulicy widzę buddyjski dacz. Odwiedziłam go dzisiaj, bez żadnych przeszkód, ale nie było mi tam dobrze, więc szybko wyszłam. Przez inne okno widzę sąsiedzką świątynię protestancką. Tuż za naszym ogrodzeniem maszyny budowlane wykopają potężny dół. Pomyślałam sobie żartem, że może oto zaczyna się budowa cerkwi... Byłoby prawdziwie wzgórze ekumeniczne. Ale okazało się, że będzie supermarket... Ciekawe sąsiedztwo jak dla kościoła. A dalej bloki, zupełnie sowieckie. A jeszcze dalej, na horyzoncie, łagodne wzgórza Buriacji.

Jak w tym specyficznym świecie umiejscawiają się katolicy? Nie jest to dziś tylko nowa obecność misyjna, ale również zakorzeniona w historii sprzed stu lat. Katolicka obecność na wschód od Bajkału wiąże się z dziejami zsyłanych tu polskich powstańców oraz robotników przybywających dobrowolnie z zachodniej części Carstwa. Już w XIX wieku dojeżdżali do nich księża z Irkucka. Trafiły mi w ręce interesujące dane statystyczne. W 1910 roku na terenie Zabajkalskiej *Oblasti* (było to chyba sporo więcej niż obecna Buriacja) zamieszkiwało 6950 katolików, a w samym Ułan Ude, zwanym wówczas Wierchniudińskim, było zarejestrowanych 345 katolików, przy ogólnej liczbie ludności 15 158. Ponad połowę z nich (204 osoby) stanowili pracownicy kolei i ich rodziny. 202 z nich było Polakami, znaczącą grupę stanowili też Włosi, a nie zabrakło wśród nich Litwinów, Niemców, Cyganów, Białorusinów, Ukraińców, a nawet Chińczyków. Praca przy budowie kolei transsyberyjskiej była niezwykle opłacalna – w ciągu dnia można było zarobić nawet 10 rubli, podczas gdy krowa kosztowała 25 rubli.

I właśnie to środowisko wystąpiło z inicjatywą budowy pierwszego kościoła. W dokumentach zachowała się prośba z grudnia 1906 roku o wyznaczenie ziemi skierowana do Dumy miejskiej, a podpisana przez Włodzimierza Iwanowicza Zalewskiego w imieniu osób wyznania rzymsko-katolickiego. Po kilku miesiącach podpisano umowę o przekazaniu przez miasto, w całości i bezpłatnie, 600 sążni kwadratowych na budowę katolickiego kościoła lub kaplicy oraz domu dla księdza. W kolejnym roku wszystko było gotowe, a poświęcone 24 lipca 1909 r. Pierwszym proboszczem został Polak Antoni Gilewski. Powierzchnia tego drewnianego kościółka na kamiennym fundamencie wynosiła 128 m kwadratowych. W 1914 roku do tutejszej parafii należało 1700 osób, z czego w samym mieście – około 400. Lata I wojny światowej zaowocowały znacznym wzrostem liczby katolików w Buriacji, gdyż napływały masy uciekinierów, a także jeńców – przede wszystkim Austro – Węgrów.

A potem szybkimi krokami nadchodziły coraz gorsze czasy. W roku 1921 miejscowe władze nacjonalizowały cały majątek parafii, łącznie z budynkami i całym wyposażeniem. Wspólnota wiernych została najemcą swojej byłej własności, z obowiązkiem pełnego utrzymania, remontów i ubezpieczenia. Jednak w tym czasie jej liczebność znacznie spadła i w mieście było tylko 85 katolików. Wszystkie możliwe utrudnienia i podstępny doprowadziły do tego, że w 1930 roku, decyzją władz sowieckiej republiki buriackiej, kościół został zlikwidowany, a naczynia liturgiczne – przetopione. Te tragiczne wydarzenia miały miejsce podczas proboszczowania Litwina Edwarda Szevcunasa.

Bardzo interesującym wątkiem jest próba odrodzenia parafii na terenie Buriacji podjęta przez litewskiego księdza Petrasa Jasosa. Od 1956 roku prowadził on w niektórych rejonach republiki tajną działalność kapłańską wśród przesiedleńców z Litwy i Białorusi. Jednak w 1960 r. został wytropiony i wygnany z Buriacji.

Koło historii zamyka się w roku 1999, kiedy to w Ułan Ude ponownie zarejestrowano wspólnotę rzymsko-katolicką. Słyszałam, że głównym inspiratorem jej odrodzenia był Buriata – katolik, ochrzczony wcześniej w Moskwie. Mobilizował on ułanudeńskich Polaków do aktywniejszego włączenia się w to dzieło. Rok później otwarto parafię, a kilka lat temu stanął nowy kościół, z którego podziwiam dziś panoramę zabajkalskiej stolicy. Nie jest mi trudno określić dominującą dziś wśród parafian grupę narodowościową. To widać po twarzach – są Buriatami. A o miejscowych Polakach wiem tyle, że z Kościołem prawie nie utrzymują kontaktów. Bardzo niewielu z nich jest parafianami. Sytuacja podobna, jak w innych miejscach Syberii. Niestety. Dlaczego ten schemat się powtarza? Dlaczego ich dziadowie z ofiarnością zakładali, budowali i utrzymywali wspólnoty, a oni nie przychodzą nawet na niedzielną Eucharystię? Nie znam odpowiedzi i pewnie ona nie istnieje, bo zawsze jest to indywidualna historia i decyzja każdego pojedynczego człowieka. Ale dziś przychodzi mi do głowy i taka myśl: wiara nie zachowała się i nie przetrwała, bo ci najwierniejsi po prostu nie przeżyli. Nie mogli więc przekazać jej następnym pokoleniom. Natomiast ci, którzy przeżyli, często nie odmawiali sobie przywilejów związanych z wejściem w struktury władzy i partii. A to – co oczywiste – też nie służyło wzrostowi świadomości chrześcijańskiej. Niestety, to też jest część polskiej historii na Syberii. Ale trud i ofiara poprzednich stuleci nie zostały zmarnowane i właśnie dziś wydają nieoczekiwane owoce, gdy katolicka świątynia zapełnia się Buriatami – narodem w znacznej mierze buddyjskim i szamańskim. Zapewne nie marzyli o tym polscy zesłańcy i pracownicy kolei. W tamtych czasach jeszcze nie umieli myśleć w kategoriach misyjnych, a w obcym sobie świecie tęsknili chyba przede wszystkim za Ojczyzną, której nieodłącznym elementem był Kościół i różne związane z wiarą tradycje. Tak to Boże plany i działania przewyższają nasze, ludzkie.

Ja też zawsze na to liczę podejmując różne, drobne i codzienne, sprawy i wyzwania. Teraz przyjechałam do Ułan Ude na dziesięć dni, by kontynuować działania rozpoczęte dwa lata temu. Wówczas odbyło się tu duże seminarium na temat uzależnień dla środowiska lekarzy, psychologów, pedagogów, działaczy społecznych. Zajęcia prowadzili specjaliści z Polski. A teraz za kilka dni dojadą do mnie przedstawiciele anonimowych alkoholików z Irkucka i Czity. Właśnie organizuję dla nich spotkania na ten czas. I już doświadczam owoców swojego poprzedniego pobytu. Ileż wówczas było lęków ze strony władz, ileż utrudnień i problemów ze znalezieniem sali, z zaproszeniem lekarzy i w ogóle z dogadaniem się. Teraz – wystarczył jeden mój telefon do pani z rządu Republiki Buriacji, by otworzyło się wiele drzwi i by paru urzędników stawiło się w gotowości bojowej do realizowania moich propozycji. Będą zatem spotkania z młodzieżą w kilku szkołach, w domu dziecka, będzie spotkanie z lekarzami i pacjentami, będzie rozmowa z władzami więziennymi oraz ze służbami socjalnymi urzędu miasta. Niezależnie od tego wszystkiego wybieramy się do państwowego radia na wywiad. A Sergiej i Aleksiej będą wieczorami pracować przede wszystkim

ze „swoimi” na grupie AA, która zresztą zbiera się w katolickiej parafii. Wczoraj jedna z pań lekarek bardzo drobiazgowo tłumaczyła mi, że taka grupa już u nich jest i gdzie się spotyka, i jak tam trafić... Uspokoila się dopiero, kiedy powiedziałam, że ja właśnie tam nocuję. Dwa lata temu jakiegokolwiek wspomnienie o Kościele groziło katastrofą, bo wszyscy bali się panicznie, aby seminarium nie było „głoszeniem religijnej propagandy”. Jakiś czas temu mieli po prostu nieprzyjemne doświadczenia z pewną sektą z Moskwy, która pod przykrywką szkolenia na temat profilaktyki narkomanii, bardzo ostro ruszyła do werbowania w swoje szeregi.

Dziś – jak widzicie – jest już zupełnie inaczej, a w rozmowach z panią z buriackiego rządu zarysowała się nawet (mglista na razie) idea wspólnego objazdu buriackich wiosek i miasteczek ze szkoleniami dla tamtejszych nauczycieli i urzędników. Może kiedyś... To doprawdy romantyczna misyjna wizja i jestem dziś pełna zapału do jej realizacji. Jednak mój zapał nie dotyczy w tym wypadku pory zimowej i umówiliśmy się, że sprawa jest do realizacji najwcześniej na wiosnę.

Czemu tak? Ano posłuchajcie pewnej historyjki. Jak wiecie, przy obecnym systemie wizowym, obywatele Unii muszą dość często wyjeżdżać z Rosji. Jeszcze jakiś czas temu wystarczyło wyjechać na kilka godzin do Mongolii, do której z Ułan Ude jest wyjątkowo blisko. I oto pewnego razu jedna z siostr – Polek wraz z proboszczem – Polakiem wybrali się w taką podróż tutejszym rejsowym autobusem. A była to zima. Zaraz za miastem wysiadło ogrzewanie, co poza skutkami dla ciał pasażerów, zaowocowało także totalnym zamarznięciem szyb. Wszystkich! Również tej przedniej. Nie powstrzymało to jednak dzielnych przewoźników przed kontynuacją kursu. Drugi kierowca chuchał w szybę przed oczami tego pierwszego, aby miał chociaż kilkucentymetrową powierzchnię do obserwowania drogi. No i tak jechali. I najwyraźniej mieli zamiar dotrzeć do samego Ułan Bator. Jedynymi osobami zdenerwowanymi całą sytuacją byli nasi Polacy. Na ich szczęście pojazd zepsuł się całkowicie i po prostu stanął. Kierowcy zaczęli wydzwaniać i ogłosili, że będzie nowy autokar. Kiedy? Kiedyś. Buriaci to bardzo spokojny naród – powyciągali swoje kanapki i zaczęli je konsumować na czterdziestostopniowym mrozie. A naszym zostało tylko kilka godzin do obowiązkowego opuszczenia Rosji. Zadzwonili więc po drugą siostrę, a że było to jeszcze całkiem niedaleko od miasta, to przyjechała ona szybko samochodem i zdążyła odwieźć ich na pociąg do Mongolii. Wszystko zakończyło się szczęśliwie.

A zatem i ja kończę w takim pozytywnym momencie, abyście mieli dobre wyobrażenia o życiu na misjach. I życzę wszystkim – Wam i sobie – nieco lżejszej nadchodzącej zimy i bardziej sprawnych pojazdów do przemierzania naszej misyjnej doczesności.

*

Irkuck, 2 listopada 2008 r.

Drodzy Moi,

Wyjrzałam rano przez okno i zobaczyłam śnieg - świeżutki, bielutki. Już trzeci w tym roku, ale tamte były nieudane – mokre, deszczowe i błotniste. Nie-warte uwiecznienia w liście. Dzisiejszy jest zupełnie inny. Jest słoneczny, promienisty, lśniący i radosny. Zwiastujący na serio kolejną syberyjską zimę. Po

złotej jesieni nie ma już śladu i wszystko stało się szarobure, więc czas najwyższy, by zostało schowane pod białą pierzynką.

Ja jestem akurat w fazie przejściowej między powrotem z Buriacji a wyjazdem na Sachalin. Chciałoby się pożyć jakimś stabilnym *teraz*, ale na razie nie jest to możliwe. „Dziś, jutro i pojutrze, muszę być w drodze” (Łk 13, 33). Przecież tego chciałam jadąc na misje. Jednak pomiędzy podróżami staram się żyć irkucką rzeczywistością.

W poprzednią niedzielę mieliśmy interesujące spotkanie na comiesięcznym szkoleniu Telefonu Zaufania. Przyjechali ludzie z jednego z Kościołów protestanckich o nazwie „Краугольный камень”, którzy prowadzą ośrodki dla narkomanów w miejscowości Gorochovo, około 60 km od Irkucka. Opowiadali o swojej pracy, nadziejach i własnym zdrowieniu. Okazuje się, że ich Kościół ma na terenie od Moskwy do Władywostoku 52 ośrodki dla narkomanów i alkoholików! A to jest tylko jedna z kilkudziesięciu wspólnot protestanckich zajmujących się w Rosji taką działalnością. Czujecie potęgę? Pisałam Wam już kiedyś, że osiemdziesiąt procent parafian trafia do nich właśnie poprzez te problemy. Więc rosną. Mówi się, że Kościół pierwszych wieków był Kościołem niewolników. I grzeszników oczywiście. (Ale to akurat zawsze, nie tylko na początku). Więc teraz myślę sobie, że Kościół w Rosji XXI wieku jest i będzie kościołem narkomanów i alkoholików.

Ale wracając do Telefonu Zaufania. Ostatnio odbyło się trzyczęściowe solidne szkolenie dla kandydatów na nowych wolontariuszy. To bardzo cenne, że jest kilka kolejnych osób gotowych włączyć się w to dzieło, i odciążyć przez to starych członków ekipy.

Chciałam Wam przekazać jeszcze garść irkuckich wiadomości, ale nagle i niespodziewanie okazało się, że muszę ten list skończyć i wysłać. A zatem żegnam się na progu syberyjskiej zimy, słonecznie i z nadzieją na dobre owoce podróży na Sachalin. Będzie o niej następnym razem, ale raczej nie za prędko. A i Wam życzę dobrych listopadowych dni, przeplatanych różnymi świętami i radościami.

Barbara

*

Władywostok, 4 grudnia 2008 r.

Drodzy Moi,

Zacznę od końca. Jak widzicie – dziś moje imieniny. Miałam je spędzić w czterech miastach, podróżując z Dalekiego Wschodu na Syberię. Najpierw przelot z Jużnosachalińska do Władywostoku. Parę godzin przerwy i podróż do Irkucka z międzylądowaniem w Chabarowsku. Od czasu bankructwa dziewięciu lokalnych linii lotniczych (a stało się to we wrześniu) podróże w naszym regionie stały się bardzo skomplikowane i męczące. Ale to, co przydarzyło się dzisiaj, jednak mnie zaskoczyło. Otóż, jest już późna noc, a ja siedzę na lotnisku we Władywostoku, oczekując na ... nie bardzo wiadomo co. Lądowaliśmy w ekstremalnych warunkach: gęstych śniegowych chmurach, przylegających niemal do samej ziemi, zasypani białym mokrym puchem i brnąc w głębokim, świeżo spadłym śniegu, zamieniającym się w mokrą breję. Potem ponad godzinę trzymali nas w samolocie, przy wyłączonym ogrzewaniu, więc puchowa kurtka okazała się zbawienna. Na Sachalinie było tak ciepło, że w ogóle jej nie

używałam i zastanawiałam się jeszcze dziś rano, czy wziąć ją na siebie, czy oddać na bagaż.

W końcu nas wypuścili. Zaczęto przesuwać kolejne przyloty i wyloty, aż w końcu – godzinę po moim przybyciu – zamknięto lotnisko do następnego dnia do ósmej rano. Część pasażerów rozmieszczono w hotelach pobliskiego miasta Artiom, bo do Władywostoku jest aż 50 km. Niestety, ja się chyba za słabo pchałam, bo dla mnie miejsca już nie starczyło i razem z solidną grupą podobnych nieszczęśników czeka mnie noc w poczekalni. Najpierw rozlokowano pasażerów z rejsów międzynarodowych (Japonia, Chiny, Korea, Tajlandia), potem tych, co lecieli do Moskwy, a dla nas – zwykłych „ruskich” – nie wystarczyło miejsc w hotelach. Znacznie operatywniejsza okazała się telewizja, która pojawiła się już w godzinę po zamknięciu lotniska i z lubością filmowała cały ten bajzel. Gdyby nie perspektywa nocy na żelaznym krzeselku, dla mnie też byłoby to wszystko bardzo interesujące poznaczo.

No, ale cóż, może teraz o czymś miłym. Ten dzień zaczął się pięknie. Po zakończeniu wszystkich imprez, z powodu których 14 listopada znalazłam się na Sachalinie, nadszedł czas, by wyruszyć dziś w drogę powrotną. Raniutko wyruszyliśmy wraz z proboszczem, o. Sebastianem z Indii, do klasztoru sióstr Misjonarek Miłości. To są te od Matki Teresy. Jak przystało na radykalizm założycielki, mieszkają one w tutejszych slumsach, zwanych wśród ludu Szanghajem. To po prostu wielka dzielnica drewnianych, rozwalających się domków, pełnych nędzy, pijaństwa, przemocy i samobójstw. Nie ma tu trędowatych, jak w Kalkucie, ale są miejscowi „wykleci” – alkoholicy, narkomani i ich dzieci. Dobre miejsce dla Matki Teresy. Siostry są cztery: Polka, Filipinka i dwie Koreanki. Ich dom jest klejnotem błyszczącym wśród ciemności. Ludzie przychodzą tu zjeść, porozmawiać, posłuchać o Bogu, o nadziei, zagrzać się – nie tyle fizycznie, co duchowo – czyli po prostu doświadczyć miłości. A to rzadka możliwość, gdy jest się kimś wkręconym w spiralę uzależnienia. I właśnie w tym duchowym pałacu, bardzo zresztą skromnym zewnątrz, miałam kończyć swój pobyt na dalekowschodniej wyspie. Najpierw była Msza święta. Oczywiście s. Małgorzata wszystkim rozgadała, że mam imieniny; inaczej nikt by nawet nie wiedział. Więc modlili się za mnie bardzo intensywnie. Na szczęście po angielsku, więc nie wszystko rozumiałam, ale wdzięczna byłam bardzo. Następnie odbyło się śniadanie, raczej w formie obiadu, z daniem typowo polskim, czyli pierogami ruskimi. To także na moją cześć. Plus ciasto, też polskie. Czas upłynął niezwykle sympatycznie, tak samo zresztą jak i przez minione trzy tygodnie, i doprawdy aż żal mi było opuszczać Sachalin.

A teraz siedzę na tym nieszczęsnym lotnisku w Artiomie, dochodzi północ, kończą się imieniny, a na wielkim telewizorze od paru godzin widzę Putina. Dziś ma coroczne show – odpowiada na pytania obywateli (telefoniczne, mailowe i osobiste w studio). W Moskwie jest o dziewięć godzin wcześniej. A ja już wysiadam. Szkoda, że nie mam karimaty, bo podłoga tu marmurowa. Natomiast krzeselka poroizdzielane są poręczami. Mimo to muszę się rozejrzeć za jakimś kawałkiem do poleżenia.

*

5 grudnia 2008 r.

I oto następny dzień. Przeżyłam. W piwnicy, niedaleko wejścia do toalety, znalazłam taką żelazną ławeczkę, która jeszcze nie była zajęta. Laptop pod głową trochę uwierał, ale za to sybirska puchowa kurtka okazała się doskonałą kołderką. Nawet trochę podzemałam. Interesujące doświadczenie – nocleg na ławce. Nie powiem, że bym była w dobrej formie, ale żyję. Przed szóstą sympatyczny głos oświadczył przez megafony, że zamknięcie lotniska zostaje przedłużone do godziny jedenastej. Jak się później okazało, przez całą noc czyszczono pasy startowe, ale temperatura spadła z plus jednego do minus szesnastu stopni i teraz należało rozpocząć odkuwanie lodu, nie tylko z asfaltu, ale również z samolotów. Rzeczywiście, jak tylko spróbowałam wyjść na zewnątrz, o mało się nie zabiłam – wszędzie gładki lód. W całej okolicy samochody w ogóle przestały jeździć. Ale za to jest słońce!

*

Irkuck, 10 grudnia 2008 r.

Minęło kilka dni. Chciałabym dokończyć moją opowieść. To była szkoła przetrwania i nie we wszystkie szczegóły będę się zagłębiać. Po paru godzinach, a był to już 5 grudnia, ogłoszono, że lotnisko będzie zamknięte do 14.00. Po 16.00 zaczęto odprawiać pierwsze samoloty. Najpierw oczywiście odleciała Moskwa. Natomiast my wystartowaliśmy o 18.00. Przed nami miało być lądowanie w Chabarowsku (jedna godzina lotu), a potem już Irkuck (jeszcze trzy godziny). Wszystkie procedury według planu: zapiąć pasy, chusteczki, cukierczki, start. Potem stewardessy wyruszyły z wodą. Ludzie wykończeni lekko przysypiali. Ja siedziałam od przejścia, bo to zawsze wygodniej. W pewnym momencie mój sąsiad przy oknie mówi, że lecimy tak dziwnie nisko nad ziemią, coraz niżej. Patrzę - no faktycznie, tuż pod nami widać światła jakiegoś miasta (było to już po zmroku, a dzień był bezchmurny). Myślę sobie – coś tu nie gra, przecież normalnie nie lata się tuż nad ziemią. Normalna wysokość, to 10 km. Większość ludzi w ogóle tego nie zauważyła, stewardessy – zajęte rozdawaniem wody – również. W pewnym momencie słychać głos kapitana: obsługa szybko siadać na swoje miejsca! Za kilka sekund wylądowaliśmy. Wszyscy zdezorientowani. Przecież to niemożliwe, żeby być w Chabarowsku po 20 minutach lotu. Mój sąsiad stwierdził, że widzi trawę, ale po chwili doszedł do wniosku, że to jednak śnieg. No nieźle – myślę sobie – najbliższa trawa, to chyba w Wietnamie. Ale cóż się dziwić, człowiek ponad dobę siedział na lotnisku.

W każdym razie ostro stoją dwa pytania: GDZIE jesteśmy i DLACZEGO? Co do pierwszego, to przeanalizowałam w głowie całą mapę: między Władywostokiem i Chabarowskiem nie ma żadnego wielkiego miasta. Oczywiście pełno jest baz wojskowych (widziałam kiedyś z góry jakieś lotnisko na odludziu, przelatując tędy z Kamczatki), ale kto po takiej śnieżycy byłby w stanie odkopać pasy w lesie, skoro w wielkiej metropolii trwało to ponad dwadzieścia godzin? Absurd. Jediną logiczną odpowiedzią wydawała mi się ta, że z jakiegoś powodu wylądowaliśmy w Chinach (spójrzcie na mapę, to naprawdę sensowne). Mogło to być jakieś odkopane już przez miejscowych miasto. O Korei czy Japonii nie pomyślałam, bo to nie nasz kierunek.

I drugie pytanie: dlaczego? Mój nieoceniony sąsiad zauważył zbliżające się do nas wozy straży pożarnej. Prawdę mówiąc w ciemności widział tylko mi-

gające koguty, a reszta to pewnie interpretacja. Jednak nie było ani widać, ani słyhać, ani czuć, żebyśmy się palili lub coś w tym rodzaju. W każdym razie stwierdziliśmy zgodnie, że dzięki Bogu przynajmniej jesteśmy na ziemi.

Aby was dłużej nie dręczyć, przechodzę do odpowiedzi. Po chwili okazało się, że jesteśmy we ... Władywostoku. Co za radość! Tak dawno w nim nie byliśmy. Całe 20 minut! A drugie pytanie, no cóż ... Wersja oficjalna nie pojawiła się nigdy, a nieoficjalne były dwie. Jedna: nie zamknęło się podwozie naszego samolotu. Druga: niedokładnie usunięto lód ze skrzydeł i sterów. Krótko mówiąc – niesprawność techniczna. Pilot postanowił wrócić i muszę przyznać, że zrobił to po mistrzowsku. Nawet nikt nie zdążył się wystraszyć. Panienki w okienku powiedziały nam, że teraz technicy sprawdzą samolot i orzekną, czy możemy lecieć. Ludzie zaczęli się buntować, że tym samym już nie polecą. Ja na myśl o kolejnej dobie na tym lotnisku mało nie padłam. Zaczęłam załatwiać, żeby wysłali mnie do Irkucka inną linią lotniczą, bo w najbliższym czasie odlatywały dwie. Nic nie załatwiłam. Oczywiście, byłoby do zrobienia, gdybym kupiła sobie nowy bilet. A zatem bardzo stanowczo zaczęłam domagać się zakwaterowania. Udało się, bo akurat zwolniono parę miejsc w pobliskim sanatorium. Dostałam łóżko w pokoju z panią z Magadanu, której lot odłożono do następnego dnia. Co za rozkosz: prysznic!, gorąca woda!, gorąca herbatka!, ciepłe łóżko i trzy godziny boskiego snu! A potem wszystko od nowa polsko ludowa: rejestracja, prześwietlanie, bagaż, buty, kurtki, autobus, trap, samolot, chusteczki, cukiereczki, pasy i o 3.00 (sobota 6 grudnia!!!) staaart! Woda i po godzinie - Chabarowsk. Ze wszystkich już takie flaki, że nawet nas na lotnisko nie wyganiali. Dosiadło się mnóstwo nowych. Potem chusteczki, cukiereczki, pasy, start, woda, ciepłe jedzonko, herbatka, drzemka i przed świtem – Irkuck (minus 23). Nie do wiary! Nigdy się tak za nim nie stęskniłam. Trzeci dzień podróży z Sachalina! Normalnie jak powrót z zesłania.

A dopiero dziś znalazło się trochę sił, aby Wam o tym opowiedzieć, bo zmęczenie było kosmiczne. Głowa trzeszczy mi do dziś. Teraz wszystko w biegu, bo przecież za dwa dni kolejna podróż i ufam, że limit komplikacji na ten rok został już wyczerpany.

I tak to z tej opowieści zrobił się cały list. Zatem kończę. A o tym, o czym być powinno, czyli o działaniach na Sachalinie, opowiem już następnym razem.

Barbara

*

Irkuck, 5 marca 2009 r.

Drodzy Moi,

Już prawie trzy miesiące minęły od mojego poprzedniego listu, a ja wciąż pamiętam, że obiecałam Wam opowieść o poczynaniach na Sachalinie. Chodzi to za mną jak wyrzut sumienia i nie spocznę, póki się nie wywiążę. Przejechałam od tamtej pory sporo tysięcy kilometrów i dziś znowu jestem w Irkucku. Po ostatnim liście, pozostającym nieco w konwencji przygodowej, chciałabym dzisiaj napisać nieco inaczej, bo taki temat przyniosło mi życie. O wyspie oceanicznej nie zapominam, ale tym razem zapraszam Was do syberyjskich realiów.

Otóż, kilka dni temu, w sobotę, zaproszono mnie do Angarska na uroczyste spotkanie AA, w domu kultury przy placu Lenina. A sam wódz rewolucji zaglądał przez okno ze swego monumentalnego pomnika. Wspominam o nim nie przypadkiem, jak się dalej przekonacie. Uczestniczyło około osiemdziesięciu osób i po raz pierwszy pojawił się nawet batuszka, o. Aleksander z tej cerkwi w Irkucku, w której zbiera się grupa. Nie będę pisać o tym wydarzeniu, bo opowiadałam o podobnych już wielokrotnie, natomiast wspomnę o spotkaniu, które – jak sądzę – było głównym wydarzeniem tego mojego dnia i dla którego cała reszta była tylko tłem.

Podczas przerwy zagaiłam człowieka dobrze znanego mi z Irkucka, bo dawno nie było okazji do rozmowy z powodu moich wyjazdów. Nazwijmy go Maksimem, choć nie jest to prawdziwe imię. Jest to osobnik bardzo gadatliwy, więc przez tyle lat znajomości miałam już wyrobione zdanie na temat jego poglądów, zawartości głowy i stanu duchowego. Wielokrotnie wcześniej rozmawialiśmy o sprawach religijnych i nie było trudno zauważyć jego sceptycyzmu, wyrażającego się często lekką ironią w odniesieniu do Kościoła, wiary i wszystkich tych „średniowiecznych bzdur”. Krótko mówiąc – ateista. Z jasno określonym światopoglądem, zawsze chętny do przekonywania innych, z wyraźnym zacięciem do filozofowania. Ale przy tym – bardzo sympatyczny i dość porządny człowiek, bo niepijący już sporo lat. Miarą tej porządności było dla mnie to, że troskliwie i z poświęceniem opiekował się starszymi i schorowanymi rodzicami. Przyjmowałam go po prostu jako swoisty element tutejszego krajobrazu.

W tamtym roku umarł mu ojciec. Teraz ze zdwojonym zaangażowaniem zajmował się matką. Opowiadał mi kiedyś o niej: była prawdziwą komunistką, a nadano jej imię Ninel (przeczytajcie to imię od końca). W pewnym okresie nie było to nic oryginalnego, nazywano w ten sposób mnóstwo dzieci. Tyle, że po latach ludzie pozmieniali swoje imiona, odżegnując się od tej radosnej twórczości swoich rodziców. Ale mama Maksa została przy swoim. To trafnie wyrażało jej światopogląd.

Zapytałam, jak się ona miewa? Syn, z bardzo zatroskaną miną, powiedział, że niedobrze, oj niedobrze... Właśnie chciał ze mną porozmawiać, bo słyszał, że będę teraz przez trzy miesiące. Więc się tak bardzo nie spieszył, ale by chciał itd. Myślę sobie: a cóż to za nowość? Chyba nie podejrzewa mnie o możliwość pomocy medycznej? Nie, o to mnie zupełnie nie podejrzewał. Pani Ninel jest co prawda schorowana, ale on główny problem widzi w głowie. Ma ataki potwornego lęku, przy czym on zupełnie nie wie, czego ona się boi, a przede wszystkim – bezustannie rozmawia z ludźmi ze swojej przeszłości, których widocznie widzi wokół siebie. Komenderuje nimi, a jemu cały czas przykazuje pilnować, aby nie pozabierali jej różnych rzeczy. Tak w ogóle to tam niewiele jest do zabrania, ale on - snując tę opowieść – sam od razu wyciągał wnioski: *zaczynam widzieć, jak potworne jest takie przywiązanie do przedmiotów materialnych, jakie to straszne zniewolenie złożyć cały sens życia w materii. Teraz dostrzegam przerażające skutki. To jest obłąd – uczeplić się tylko rzeczy. Zanegować wszystko, co duchowe, uczynić sobie z tego religię, a potem miotać się w rozpacz, gdy życie wymyka się z rąk. Nie wiem, co robić. Pomóżcie! Jestem przerażony nie tylko ze względu na matkę, ale i na siebie. Też tak żyłem i tak będzie ze mną. Nie wiem, co robić; nie wiem, jak jej pomóc. Nie umiem się mścić, wyśmiewałem się z Kościoła, więc jak teraz prosić o pomoc...*

Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie na widok Maksa – prześmiewcy, któremu zawaliła się ateistyczna wiara. Zaproponowałam mu zaproszenie do domu batuszki, aby modlitwą i samą swoją osobą spróbował uspokoić duszę jego matki; duszę głodną, zrozpaczoną, ubiczowaną, obłąkaną kilkudziesięcioletnim cierpieniem. On był za, ale nie wiedział jak zareaguje ona. Ona, która całe życie pogardzała tą „ciemnotą” i wierzyła w świetlaną przyszłość materialnego świata. Jednak obiecał wyjście z taką propozycją, jeśli tylko wyczuje odpowiedni moment. Nie wiedział nawet, czy jest ochrzczona. Być może kiedyś, jakoby, babuszka coś „poszeptala” (tak to dosłownie określił), ale nie ma pewności, co to było i nigdy wcześniej o tym nie myślał. Natomiast ja pomyślałam, że faktycznie – lata trzydzieste XX wieku w ZSRR, to były najgorsze z najgorszych i z całą pewnością nie sprzyjały ani chrztom, ani niczemu, co ludzkie.

Nie wiem, jak to dalej się potoczy. Czy dusza Ninel zdoła uchwycić się promyka światła i upaść w proch pokory przed Obliczem Wszechmocnego. Nie wiem. Nigdy nie widziałam tej kobiety. Takie nie wstępują do kościołów. Znałam ją tylko z opowieści Maksa, jako wojującą aktywistkę partyjną, przekonaną, że cały świat leży u jej stóp. Taką z plakatów stalinowskiej propagandy. Dziś znam ją jako powaloną w pył przez ogrom własnej pychy i przez zbrodniarzy, którzy oszukali całe pokolenia. Syn zatroszczy się, by jej ciału niczego nie brakło. Tylko co z całą resztą? On sam jest w panice. I nawet mam wrażenie, że bardziej o siebie niż o matkę. Ale jest przecież na tyle przytomny, by samemu coś zdecydować we własnej sprawie. Niech będzie to dla niego czas łaski, choć łatwo na pewno to nie przyjdzie.

Zaczął wspominać stare epizody, o których wcześniej wcale mi nie mówił. Kilka lat temu jeździł do Polski na szkolenie związane z uzależnieniami. W jeden z wolnych dni pewien katolik z Białorusi, mieszkający w Warszawie, oprowadzał go po mieście. Zawiózł go również do jakiegoś klasztoru. Niestety, Maks nie był w stanie podać mi jakiegokolwiek informacji, pozwalającej zidentyfikować – do jakiego? Tamtejsze siostry zajmują się m. in. alkoholikami i radziły się go, jak fachowca. Ale to zupełnie nieważne. W obecnej jego opowieści tamta wizyta została jakiś nieuchwytny ślad, jakieś dotknięcie łaski, które teraz wspomina, jako powracające pytania: a cóż to za dziwy?, dlaczego tak żyć?, co się za tym kryje? Przecież coś musi... Ale CO? To głupie i śmieszne TAK żyć, ale jednak dotknięcie powraca i niepokoi, i już nie wydaje się takie głupie, i już nie jest ani trochę śmieszne. Raczej dotyka swoim ciepłem, delikatnością, wezwaniem... Jest znakiem, świadectwem, wspomnieniem z innego świata. A nawet powiem – nadzieją innego świata. Jest jakby przedśmionkiem odpowiedzi na pytania atakujące przy obecnym stanie duchowym jego matki. Ja jedno rozumiem na pewno – owe siostry modliły się za Maksa. I to bardzo solidnie. I – jak widać – nie nadaremnie! Ziarenko rzucone przed laty dziś zaczyna kiełkować. Może stopniowo zamieni wyszlą pustynię jego duszy w życiodajny ogród.

Wspomniał też inne wydarzenie sprzed lat. W czasach probostwa ks. Krzysztofa w irkuckiej katedrze, w ramach inkulturacji, świętowaliśmy kiedyś Dzień Mężczyzn (23 lutego). Na uroczystości zostało wielu panów, którzy tuż przed Mszą uczestniczyli w grupie AA. Potem wszyscy zostali zaproszeni dwa piętra wyżej na herbatkę do sióstr. Jak się okazało, był wśród nich także mój rozmówca, choć ja nie jestem w stanie odtworzyć teraz składu gości. Też mówił

o tej wizycie, jako o bardzo znaczącym dla niego przeżyciu, które pozostawiło w nim dziwny, tajemniczy ślad i teraz powraca z przeszłości wobec jego teraźniejszej sytuacji.

A ja się zadziwiam: jak małe, zwyczajne, niewiele znaczące wydarzenia, czyny, słowa, mogą mieć nieodgadniony sens, nieogarnioną głębię i nieprzewidywalne skutki. I jakże nie zadziwić się Kimś, Kto tym wszystkim kieruje, prowadzi po ścieżkach nieprzemijania. To jedna z refleksji, ale nie jedyna.

Co jakiś czas powraca, również w moich listach do Was, wątek schorowanych, bezradnych, oszukanych staruszków, uwięzionych w blokowiskach całej Rosji. Mniejsza z tym, że niczego się nie dorobili i wegetują na głodowych emeryturach, dręczeni przez własne dzieci – alkoholików i wnuki – narkomanów. Mniejsza z tym, że sami – mniej lub bardziej – uczestniczyli kiedyś w systemie zakłamania. To wszystko w tej chwili nie jest już istotne. Kluczowe jest pytanie o ich wieczność. Wydawać by się mogło, że starszy wiek sprzyja umocnieniu więzi z Bogiem, ale tu się okazuje, że nie. Umacniać można coś, co jest. Ale jeśli nie ma nic, to co umacniać? A gdy w dodatku stopniowo kruszy się cała doczesna rzeczywistość? A gdy już słychać diabelski chichot nicości? Jakaż potworna egzystencjalna pustka musi ogarniać ich wokoło i z samego wnętrza duszy. Czy można to sobie wyobrazić? Nie, nie chcę nawet próbować.

Myślę raczej o tym, jakaż to ogromna łaska wyrastać w środowisku chrześcijańskim i dzień za dniem, rok za rokiem, budować i rozwijać bliskość z Bogiem, karmić swoją duszę prawdą i nadzieją, a przede wszystkim – realną obecnością Wszechmocnego. Im wcześniej się zacznie, tym więcej się zbuduje, tym więcej się nakarmi, tym mocniej się przemieni. To logiczne i oczywiste. Mimo że mało zauważalne. A wtedy czas umierania, nawet jeśli trudny i mało przytomny, będzie jednak czasem przejścia, otulonego pokojem ducha, gdzieś w najgłębszych jego warstwach. To zupełnie nieporównywalne z sytuacją ludzi niewierzących.

Takie to rozmowy przyszło mi toczyć w Angarsku pod pomnikiem Lenina na temat kobiety nazwanej jego imieniem. I widzieć jego „zwycięską” ręką, która – choć tu wzniesiona do góry – wskazała milionom drogę wprost do piekła.

Zrobił się już 7 marca, pada śnieg. Znowu jest sobota. Równo tydzień od spotkania z Maksimem. Może zobaczę go dziś, może spytam o najświeższe przemyślenia, o decyzje. Co nowego zapisała Nieskończoność na kartach swej księgi? Wielki Post, czas łaski. Módlcie się za takich ludzi, jak Maks i jego matka. I módlcie się szczególnie za tych dwoje. Może dzięki temu będą kiedyś mieli okazję podziękować Wam w niebie za ratunek.

